

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza drobnego (petit) po 8 centów. za każde następne „ 5 „ i należytość stęplową 30 „ za każdorazowe umieszczenie.

AFISZ

TEATRALNY.

Wychodzi w Krakowie 4 razy w tygodniu w dniu przedstawienia teatralnego.

Cena prenumeraty miesięcznie 50 c. Numer pojedynczy kosztuje 5 c. Prenumeratę przyjmują: Administracja *Czasu*, przy ulicy Różanej Nr. 413 i Kasa Teatralna.

Kraków 20 Września.

W Niedzielę opera komiczna w 2 aktach *Pensyonarki* i komedia 1 aktowa Aleksandra Fredry (ojca) *Nikt mnie nie zna*.

ROZMAITOŚCI.

Młoda osoba szła za mąż przeciw swojej woli, wyraz *tak* przy ślubie, wymówiła nadzwyczaj zimno.

— Ach! rzeknie jeden z przytomnych, za-

łuję bardzo pana młodego; djabelnie ściśniętymi ustami, wymawiała panna młoda słowa przysięgi.

— Żałuj prędzej panny młodej, bo ona znów ma djabelnie w tej chwili ściśnięte serce.

W piwiarni.

— Kufel stłukony, należy się 30 centów.
— To nie ja stłukłem, to ten gruby pan co wyszedł.

— To mi wszystko jedno, pan siedziałeś przy tym stole, to musisz zapłacić.

— Idź do milion djabłów, co mi do tego, ja sobie umyвам ręce.

— Jeżeli tak, to chętnie panu jeszcze dodam 30 centów, bo wątpię, by pierwsze 30 wystarczyło na mydło.

— Mój panie, pan nie możesz się znajdować w towarzystwie porządnym ludzi, bo zostałeś spoliczkowany.

— I gdzież to dostałem?

— W Łęczny na jarmarku.

— W takim małym mieście co nie ma, nawet 3ch tysięcy mieszkańców, masz pan też co wspominać.

LORENZACCIO.

Ciąg dalszy.

LORENZO. Mam honor przedstawić księciu mego wuja Rindo Attoriti, który niezmiernie żałuje, że długi jego pobyt w Neapolu nie pozwolił mu złożyć dotychczas swego uszanowania księciu. Ten drugi pan jest sławnym Baptystą Venturi, który wprawdzie fabrykuje wyroby jedwabne, ale ich wiele nie sprzedaje. Niechaj obecność tak dostojnego gościa pod moim skromnym, dachem nie mięsza was całkiem mój wuju, ani też ciebie panie Venturi; co żądacie, to otrzymacie niezawodnie, bo w innym razie musiałbym przypuścić, że moje pokorne prośby nie mają żadnego znaczenia u łaskawego władcy.

KSIAŻĘ. O co chcesz prosić Rindo?

LORENZO. Tytuł rzymskiego ambasadora do nikogo obecnie nie należy i wuj mój ma nadzieję, że za mojem pośrednictwem zechcesz mu go udzielić książe. Zdaje się, że nie ma człowieka we Florencyi, któryby miał więcej przywiązania i szacunku dla familii Medyceuszów.

KSIAŻĘ. Czy tak Renzo? więc kochany Rindo możesz się spodziewać tej godności, przyjdź jutro do pałacu.

RINDO. Wasza Ks. Mość doprawdy jestem tem wszystkiem zmieszany.... Jakże roz....

LORENZO. Pan Venturi, jakkolwiek nie sprzedaje towarów, prosi jednak o przywilej dla swoich fabryk.

KSIAŻĘ. Jakiż to przywilej?

LORENZO. Żeby mógł umieścić twój herb na swoich drzwiach i otrzymać dyplom. Pozwól mu na to książe, jeżeli kochasz tych, co ciebie z takim poświęceniem kochają.

KSIAŻĘ. Czy tylko tyle? Takim sposobem sprawa już skończona; idźcie panowie spokojnie do domu, ja się przychyliłem chętnie do żądań waszych.

VENTURI. Książe, jestem zachwycony, nie wiem doprawdy jak wyrazić....

KSIAŻĘ (do służby). Niech przepuszczają tych panów!....

RINDO (po cichu do Venturego). To prawdziwy łotr.

VENTURI (tak samo). Cóż teraz zrobisz?

RINDO (jak wyżej). Cóż chcesz u diabła, żebym robił, słyszałeś, że jestem zamianowanym.

VENTURI (po cichu). To straszne. (wychodzi).

KSIAŻĘ. Cibo jest moja.

LORENZO. Bardzo żałuję.

KSIAŻĘ. Dlaczego?

LORENZO. Bo to będzie z krzywdą dla innych.

KSIAŻĘ. Mylisz się, bo już mnie nudzi.... Powiedzno mi co to za kobieta podlewa zawsze kwiatki na tém oknie. Oddawna widzę ją tu chodzącą.

LORENZO. Gdzie?

KSIAŻĘ. Tam na dole wprost pałacyku.

LORENZO. To nic szczególnego.

KSIAŻĘ. Nic szczególnego, nie widziałeś tych przepysznych ramion, jak u Venus.

LORENZO. To sąsiadka moja.

KSIAŻĘ. Właśnie chciałem z tobą pomówić o tej sąsiadce, bo jeżeli się nie mylę, to ona jest Katarzyną G.

LORENZO. Mylisz się, to nie ona.

KSIAŻĘ. Owszem, jestem prawie pewnym, że to twoja ciotka. Na honor trudno zapomnieć taką twarzyczkę i dlatego proszę cię, przyprawdź mi ją dziś na kolację.

LORENZO. Nie przyrzekam, nie znasz jej; to uosobniona cnota.

KSIAŻĘ. Cóż znowu, czy podobna przeszkoda może dla mnie istnieć?

LORENZO. Spytam się jej, kiedy sobie życzysz tego książe, ale uprzedzam, że pedantka, nawet po łacinie mówi.

KSIAŻĘ. Tem lepiej, będziemy w tym języku rozprawiać o miłości. Chodźmy tedy lepiej to może ją zobaczymy z galerji.

LORENZO. Inną razą, mój maleńki, teraz nie mam ani chwili do stracenia, muszę iść do Strozzi.

KSIAŻĘ. Co, do tego starego szlachcica?

LORENZO. Tak właśnie do tego nędznika. Wyobraź sobie, że nie może się wyleczyć z szczególnej manii rozdawania pieniędzy nikiemnym bannitom. Zawsze, nim wyjdą z miasta, zbiera się ta hałastra u niego i on ich darzy, jak może najchojniej. Pójdę dziś do niego na obiad, zapewnię o mojej serdecznej przyjaźni, a wieczorem będę miał do opowiedzenia ci kilka wesołych anegdot, pozwalających ci wygnać na nowo kilku z tych łotrów.

KSIAŻĘ. Jakże jestem szczęśliwy, że mam ciebie mój maleńki. Doprawdy nie pojmuję tego, że oni przyjmują ciebie jeszcze.

LORENZO. Szusnie cię to dziwi. Nie uwierzysz, jakato przyjemność kłamać w oczy tym głupcom, zapewne nie próbowałeś ani razu tej rozrywki, warto, żebyś jej zakosztował. Ale zdaje mi się, żeś potrzebował mieć swój portret, już nie pamiętam dla kogo. Mam właśnie malarza bardzo zdolnego, przytem to mój protegowany.

KSIAŻĘ. Dobrze, dobrze, ale pomyśl o ciotce, bo dla niej umyślnie tu przyszedłem, niech

djabli wezmą, nie mogę o niej zapomnieć.

LORENZO. A Cibo?

KSIAŻĘ. Mówię ci raz jeszcze, żebyś pomówił z ciotką o mie.

Wychodzą.

Scena V.

Filip Strozzi, Przeor, Ludwika zajęta robotą i Lorenzo spoczywa na sofie.

FILIP. Dałby Bóg, żeby się to wszystko na niczem skończyło, żeby ta zacięta nienawiść nie przyniosła nam nieszczęścia. Bo wreszcie, czyż warto zważać na propozycje robione przez człowieka tak nikiemnego i rozpustnego. Słowa nieopatrznie powtarzane szerzą między rodzinami niezgodę, będącą w swoich następstwach czasami niepowetowaną: Gdy jest znieważonym, wyzywa się zwykle na pojedynek, wprawdzie można zabić lub samemu poledz, czasem zaś gorzej bywa, nienawiść niepomszczona staje się dziedziczką, z syna na ojca przechodzi z czasem zamiast się zmniejszać, potęguje się z całą mocą.

PRZEOR. Może źle zrobiłem, powtarzając te niedorzeczności a gorzej jeszcze do Montolivet. Ale czasem to trudno zapanować nad sobą i znosić spokojnie obelżywe traktowanie tych Salviattich.

FILIP. Leonie mój drogi, cóżby straciła Ludwika i my sami, gdybyśmy nie wiedzieli o tej zniewadze? Czyż cnota Strozziach jest tak słabą, że nie umie znieść obelgi nawet takich Salviattich? Czyż mieszkańcy marmurowych pałaców potrzebują znać sprosne słowa, jakie nieoświecony lud pisze na jego murach? Cóż nas obchodzi propozycja Juliana? Czyż dlatego, że on nędznie ją spotwarza, córka moja nie może znaleźć męża szlachetnego, czyżby dzieci jej mniej ją szanowały za to? Czyż wieczorem na pożegnanie z mniejszą czułością całowałbym ją, jak zwykle. W jakich czasach żyjemy, kiedy pierwsze lepsze zuchwalstwo włóczęgi doprowadza nas do wydobycia mieczów z pochew. Dziś wszystko stracone, Piotr rozwścieczony twojem opowiadaniem, i Bóg wie, jak się to skończy. Umyślnie udał się w drogę do Pazzi, niechajże spotka się z Salviattim, to niezawodnie przyjdzie do krwawego zejścia. A może nawet czysta szlachetna krew Strozziach popłynie po bruku Florencyi? Boże! czemuż jestem ojcem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Początek o godz.

wpół do ósmej.



Nr. porządkowy 211.

TEATR KRAKOWSKI.

W Sobotę dnia 20^{go} Września 1873 r.

Komedia w 5 aktach N. Gogola, przełożył z rosyjskiego
Jan Chelmikowski

REWIZOR PETERSBURGSKI

O S O B Y :

Antoni Skwoźnik Dmuchański,		Aleksander Chlestków	— —	Pan Rawicz.
Horodniczy — — — —	Pan Benda.	Józef, jego służący	— —	Pan Błoński.
Anna, jego żona — — — —	Pani Ekerowa.	Hübner, doktor	— —	Pan Grzybowski.
Marya, ich córka — — — —	Pani Bauman.	Czastny Prystaw	— —	Pan Glikson.
Chłopow, inspektor — — — —	Pan Roger.	Korobkinowa — — — —	— —	Panna Wojnowska.
Jego żona — — — —	Panna Wyszowska.	Dzierżymorda I.	— —	Pan Zapałowicz.
Liapkin-Tiapkin, sędzia — — — —	Pan Siedlecki.	Dzierżymorda II.	— —	Pan Raczyński.
Ziemanika, kurator szpitalów	Pan Werner.	Abdulín, kupiec	— —	Pan Ładnowski.
Szpekin, pocztmistrz — — — —	Pan Nowakowski.	Michałek — — — —	— —	Panna Ekel.
Piotr Dobeżyński — — — —	Pan Eker.	Kelner — — — —	— —	Pan Bogucki.
Piotr Bobeżyński — — — —	Pan Szymański	Żandarm — — — —	— —	Pan Glikson.

Kupcy. — Scena w powiatowym miasteczku.

Cena miejsc zwyczajna. — Początek o godzinie wpół do ósmej.